

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ. 1/1 strona — 80 zł.

1/2 „ — 40 „

1/4 „ — 20 „

1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Zimny prysznic.

Sensacyjne wynurzenia niektórych działaczy litewskich w kowieńskim Klubie Politycznym, w pierwszym rządzie prof. Czepińskiego i dr. Bistrasa, na temat niebezpieczeństwa niemieckiego i kwestji wileńskiej mogły nasunąć przypuszczenie, że w opinji litewskiej nastąpił zasadniczy zwrot w ujmowaniu zagadnień polityki zagranicznej, który nie może się nie odbić na stanowisku czynników rządzących. Złudzeniom i wynikającym stąd możliwym mylnym wnioskom kładzie kres enuncjacja półrządowego organu, zawierająca ocenę sytuacji międzynarodowej Litwy, utrzymana w tonie zgola odmiennym, dalekim od tego pesymizmu, jakim nacechowane były wystąpienia wspomnianych działaczy opozycyjnych. Artykuł „Liet. Aidas” z d. 15 maja, odzwierciedlający zapatrywania decydujących sfer politycznych w Republice Litewskiej w obecnej chwili, posiada wartość aktualnego dokumentu historycznego.

Sytuacja polityczna Litwy na forum międzynarodowym nigdy nie była łatwa — czytamy we wspomnianym artykule. Mały naród, znajdujący się wśród mocarstw zawsze ma trudności. Sytuacja Litwy była tem trudniejsza, że znaczny odłam narodu litewskiego, w wyniku nieszczęśliwego dla Litwinów procesu historycznego, został zasymilowany przez inne narody i dopiero obecnie zaczyna powoli odzyskiwać swe oblicze właściwe.

Inne państwa bałtyckie szybko ustaliły swe granice. Litwa zaś dzisiaj jeszcze musi walczyć o swe granice, jeżeli nie bronią, to innemi środkami. Jasną więc jest rzeczą, że taka geopolityczna i międzynarodowa sytuacja Litwy bardzo utrudnia jej w położenie. Należy się z tem liczyć.

Niepodobna jednak twierdzić, że geopolityczna sytuacja Litwy ma tylko strony ujemne. Ma ona niewątpliwie również strony dodatnie. Przeciż do odzyskania wolności dopomógł Litwie konflikt sił politycznych, działających w Europie Wschodniej. Wolność litewska zrodziła się z konfliktów. Konflikt tych sił politycznych trwa dalej, obecnie już nie w formie zbrojnego starcia, lecz w innych formach. Trwać on będzie nadal i prawdopodobnie nigdy się nie skoń-

czy. W Litwie krzyżują się interesy kilku sprzecznych sił. Siły te wzajemnie się neutralizują i w ten sposób ułatwiają Litwie utrzymanie niezawisłości. Nie należy tego nigdy zapominać.

Z drugiej strony byłoby wielkim błędem liczenie jedynie na ten konflikt i siedzenie z założonemi rękami. Sytuacja geopolityczna właśnie wymaga od Litwinów wiele aktywności, sprytu, jedności i innych wysokich kwalifikacyj. W ostatnich czasach zaczęto rozdmuchiwać w Litwie głównie niebezpieczeństwo niemieckie. Niebezpieczeństwo to pragnie się wprost rozdmuchać do paniki, któraby zmusiła Litwę do uczynienia jakiegoś nieprzemyślanego kroku, jak tego żądają niektórzy działacze Klubu Politycznego. Wprawdzie ideologia polityczna narodowych socjalistów i jej tendencje wywołały niepokój nie tylko w Litwie. Niema jednak złego bez dobrego. Zbyt wielka agresywność tej ideologii wywołała niemal w całej Europie niepokój i podnieciła czujność narodów. Narodowy socjalizm marzy o ekspansji na Wschód, zaś jego największy ideolog Rosenberg radzi Niemcom iść w ślady Krzyżaków. Jeżeli jednak dawniej Krzyżacy w rezultacie przegrali i zgineli, to perspektywy dla Krzyżaków nowoczesnych również nie są lepsze.

Nowocześni Krzyżacy musieliby przedewszystkiem zgnębić Polskę. Jednak zgnębić uzbrojoną od stóp do głowy Polskę, nie byłoby rzeczą łatwą. W Litwie wielu ludzi myśli, iż nowocześni Krzyżacy po ominięciu Polski ruszą wprost do krajów bałtyckich, a więc przedewszystkiem do Litwy. Plan taki, sądząc powierzchownie, wydaje się bardzo możliwy, gdyż kraje bałtyckie stanowią locus minoris resistentiae. Gdy spojrzeć nieco głębiej, staje się jednak i dla nie stratega rzeczą jasną, iż Niemcy nie mogą podjąć poważnych kroków nad Bałtykiem, dopóki korytarz Wisły pozostaje w rękach Polski. Inna byłaby sprawa, gdyby Polacy byli istotnym sprzymierzeńcem Niemiec, zainteresowanym w pancowaniu niemieckiem nad Bałtykiem. Jednak nawet dla profana jest rzeczą jasną, że stanięcie twarzą stopą Niemiec nad Bałtykiem byłoby dla Polski nożem na gardle. Dopomagając Niemcom do podboju Nadbałtyku, czy chociażby samej tylko Litwy, Polacy sami zawiązaliby sobie stryczek na szyi. Każdy Polak ro-

zumie to bardzo dobrze. Ekspansja niemiecka na Wschód poprzez korytarz, rządzony przez Polaków, jest rzeczą nie do pomyślenia ze względów strategicznych. Żadne dowództwo wojskowe nie podejmuje się prowadzenia poważniejszej wojny, o ile wie, że transporty wojskowe mogą być w każdej chwili zatrzymane przez obcą siłę, zaś armia odcięta od swej bazy.

Coś innego natomiast stanowi urządzenie w Kłajpedzie puczu lub wycieczki organizacyj militarystycznych. Takie próby jednak odeprze Litwa własnymi siłami.

Rosja również nie mogłaby spokojnie patrzeć na ekspansję niemiecką nad Bałtykiem. Ekspansja taka mogłaby Rosji zagrozić drogę na Zachód i stworzyć niebezpieczeństwo dla najważniejszych rosyjskich ośrodków.

Nie należy też zapominać o tem, co pisał nie dawno francuski „Le Temps”. Oświadczył on, że niepodległość państw bałtyckich, a nawet nienaruszalność obszaru Kłajpedy są równie potrzebne dla pokoju europejskiego, co niepodległość Austrii. Ustrój Europy Wschodniej nie jest jedynie sprawą miejscowych narodów. O ile jakiś mniejszy naród, np. Polacy, wykazuje tendencje zachłanne, może być to tolerowane prędzej. O ile jednak wielki naród, a zwłaszcza niemiecki, ujawnia ekspansję, natychmiast narusza to instynkt samozachowawczy wszystkich innych narodów. Niemcy o tem wiedzą i narazie uwaga ich skierowana jest na wzmocnienie wewnętrzne. Narodowy socjalizm będzie wtedy jedynie próbował realizować swój program ekspansji na Wschód, gdy poczuje się dostatecznie silnym, by pokonać wszelkie przeszkody. Tem się tłumaczy, że Hitler podpisał pakt o nieagresji z Polską na 10 lat. Nikt dziś nie wie, co będzie po 10-ciu latach. O ile po 10-ciu latach zamieszkałym na Wschodzie narodom wypadnie zetknąć się z ekspansją niemiecką, to zetkną się z nią przedewszystkiem Polacy.

Poważne podejrzenie budzi niechęć ze strony niemieckiej przyczynienia się do zagwarantowania nietykalności państw bałtyckich. Nie należy jednak zapominać, że demokratyczne Niemcy również unikały aktów, któreby mogły być interpretowane, jako uznanie ostateczne obecnych granic niemieckich na Wschodzie. Przecież w traktacie z Polską nie mówi się ani słowa o nietykalności granic i terytorjum.

W ten sposób, gdy się rozważa obiektywnie wszystko pro i contra, wydaje się, że ekspansja niemiecka na Wschód w obecnych warunkach nie jest jeszcze możliwa. Oczywiście przezorność nie zawadzi i Litwini powinni czuwać w miarę możliwości.

Nowy konik.

Kto w pierwszych latach rządów bolszewickich ośmielał się u nas wyrażać głośno przekonanie o ich trwałości, ten ryzykował być posądzonym o sympatie do komunizmu a nawet o tajne konszachty z Sowietami. Pragnienie upadku bolszewizmu przeobraziło się w powszechną wiarę ze strony elementów poszkodowanych w nieuniknioną katastrofę sowietyzmu. Liczono dni, kiedy to ludzie zrujnowani przez rewolucję, wojnę domową i nowy ustrój, powrócą do starych siedzib i na dawne intratne stanowiska. Nie można przecież utrzymywać się przy władzy przy pomocy terroru—twierdzono stale.

Zapomniano jednak, że olbrzymia większość ludności w Rosji składała się z elementów, które nie miały nic do stracenia. Nie brano również pod uwagę młodego pokolenia. Rozpętując kolosalną propagandę przy pomocy prasy przedewszystkiem, bolszewicy potrafili pociągnąć za sobą ogół i stworzyć szereg entuzjastów nowego nieznanego przed tem ustroju. Dziś już chyba nikt nie wierzy, że dawne formy powrócą.

Na zachodzie Europy, jakkolwiek niejednakową zajmowano pozycję względem Sowietów, zaczęto badać i studjować nowy eksperyment. Jedni, po to by go zwalczać,—drudzy, by go zastosować u siebie. W rezultacie bolszewizm zaczął być modny w Europie; rozpoczęto go rewidować i rozgrzeszać. Polska nie pozostała w tyle.

Najjaskrawiej wystąpił komunizm w Niemczech i tam też najjaskrawiej musiała nastąpić reakcja przeciwko niemu. Powstało palące zagadnienie: czy nad Niemcami ma rozwiewać sztandar z młotem i sierpem czy też ze swastyką. I gdy szala zwycięstwa przechyliła się na rzecz swastyki, całą Europę ogarnął niepokój. Jakto, ma być znowu wojna? Jednolitość opinii niemieckiej pod względem pocucia krzywdy wersalskiej i podeptanej dumy narodowej ten niepokój najzupełniej uzasadniała. Niemcy rozbrojeni fizycznie okazali się mocno uzbrojonymi moralnie. Najbardziej zagrożona Polska zdołała się zabezpieczyć za pomocą paktu o nieagresji. Gdy tylko Hitler przyrzekł siedzieć cicho—darowano mu wszystkie jego przywary. Jaskrawo promieniująca pięcioramienna gwiazda czerwona zaczęła błędnie przed blaskiem zwycięskiej swastyki,

Przyszła moda i na Hitlera.

Że tak jest—wystarczy dobrze wczytać się w dzisiejsze eunucjacje publicystów polskich, którzy niedawno zwiedzili państwo narodowego socjalizmu.

Doniedawna jeszcze hitleryzm w prasie polskiej był uosobieniem ekspansji niemieckiej, bezwzględnej nacjonalizmu i przedmiotem drwin. W zozydaniu hitleryzmu w Polsce ujawniła się niespotykana solidarność. Podobnie jak ongiś w stosunku do bolszewizmu.

Ale wystarczyło Hitlerowi obciążonemu zobowiązaniami wobec mas i zajętemu polityką wewnętrzną uczynić parę gestów pacyfistycznych w stronę Polski, hitleryzm stał się w opinii polskiej twórczym i doniosłym ruchem społecznym. Nie zdążył jeszcze p. Barthou opuścić gościnnych progów, a już ekipa dziennikarzy polskich wyruszyła do Berlina poznawać strony dodatnie hitleryzmu.

Z wyjątkiem zwolenników międzynarodówek socjalistycznych i Żydów, obecnie w szybkim tempie wytwarza się ogólny pogląd, że niemiecki narodowy socjalizm nie jest tem, za co uchodził dawniej. Coraz częściej słychać, że jest to przecież ruch, który zdołał moralnie zjednoczyć Niemców, wytworzyć siłę olbrzymią. Nie bez zdziwienia czytelnik się dowiadyje, że zasadnicza część programu hitlerowskiego jest mocno spokrewniona z komunizmem. Ten sam religijny kult dla pracy i maszyny, upaństwowianie trustów i wielkich przedsiębiorstw, wywłaszczenie ziemi. Słowem dążenia, których reakcją społeczną nie podobna nazwać. A—wszak ten program nie został ogłoszony dzisiaj, tylko w roku 1920. Dla uspokojenia klas posiadających w r. 1928 Hitler wprawdzie tłumaczył, iż mglisty punkt 17 o wywłaszczeniu na roli odnosi się tylko do posiadłości źle zagospodarowanych i żydowskich, ale fakt ten nie

jest pociechą dla obszarników niemieckich, jeśli się weźmie pod uwagę, że po dojściu do władzy Hitler przystosowuje się do potrzeb przeciętnego, średniego posiadacza, zwalczając typ kapitalisty z jednej strony a proletariusza z drugiej. Odrzucając w przeciwieństwie do komunizmu walkę klas Hitler wpaja zasadę równości społecznej bez względu na rodzaj pracy. Generał pije piwo ze swoim szoferem, inny jakiś dygnitarz tańczy na balu służy hotelowej i czuje się wyśmienicie—oto efekty nowego reżymu w Niemczech według najnowszych sprawozdań dziennikarskich.

Jak długo potrwa pobłażliwy a nawet przychylny w niektórych organach prasowych ton względem hitleryzmu i jaki wywrze skutek — przesądzić trudno. Minister Goebels ma zwyczaj twierdzić, że narodowy socjalizm nie jest produktem na eksport; możliwe, że takie oświadczenie zachęci sąsiadów do „kontrabandowego” importu. W każdym razie ostatnimi czasy rewizjonizm w stosunku do hitleryzmu, wprowadza pewne ożywienie wśród młodzieży nastrojonej „narodowo” i „rasowo”. Nie jest wykluczone, że to ożywienie będzie wzrastało.

Dzisiejszy hitleryzm pokojowo wygląda tylko nazewnątr. W chwili kiedy Führer przy pomocy aktów papierowych i oficjalnych oświadczeń usypia sąsiadów, Rosenberg, kierownik polityki zagranicznej w Niemczech dnia 29 kwietnia b. r. w Marjenburgu oświadczył publicznie wcale niedwuznacznie: „Zakon krzyżacki, twórca idei ekspansji życia niemieckiego jest wzorem, na którym powinna opierać się przyszła budowa Niemiec narodowo-socjalistycznych. Niemcy nie mogą zrzec się ekspansji kolonialnej na wschód. Będzie staraniem oświaty niemieckiej wpoić w dusze przyszłych pokoleń pamięć o wielkich królach pruskich i mistrzach zakonu krzyżackiego, by wielka przeszłość mogła oddziaływać na teraźniejszego Niemca. Trzecia Rzesza zostanie zorganizowana jako państwo porządku niemieckiego, wzorowane na zakonie krzyżackim”.

Można być zdecydowanym zwolennikiem narodowego socjalizmu i zastosowania go na rodzinnym gruncie. De gustibus non est disputandum. Ale zdaje się, że nie wszyscy nasi entuzjaści i rozgrysczyciele hitleryzmu zdają sobie sprawę z istotnych zamierzeń niemieckiej polityki zagranicznej. *Al. S.*

Jak było naprawdę.

Odpowiadając na wezwanie autora notatki p.t. „Ile jest w tem prawdy?”, zamieszczonej w Nr. 9 „Przeгляdu Wileńskiego”, kreślę poniższe informacje, które muszą rozwiać naprawdę fantastyczne „rewelacje” p. Roberta Boucard’a w książce jego „Tajemnica szpiegostwa angielskiego”—w części, dotyczącej sensacyjnych wypadków, jakie rzekomo zaszły w białoruskiej delegacji na kongres pokojowy w Paryżu.

Przedewszystkiem—pierwsza niecisłość, obalająca całą sensacyjną opowieść p. Boucard’a: na czele delegacji białoruskiej w Paryżu nigdy nie stał p. Aleksy Oznobiszyn (tytułu barona też nie posiadał...), b. członek IV Dumy Państwowej z gub. grodzieńskiej. Kierownictwo delegacją pozostawało przez cały czas trwania Kongresu pokojowego wyłącznie w moich rękach, jako szefa rządu BNR (skrót: „Białoruskaja Narodnaja Respublika”) i ministra spraw

zagranicznych tegoż. Rząd białoruski w grudniu r. 1918 zmuszony został do opuszczenia Mińska wobec tego, iż władze niemieckie, udaremniwszy naszą akcję zbrojną, oddawały Sowiecom opuszczone stopniowo tereny białoruskie z rąk do rąk, uniemożliwiając w ten sposób utworzenie na tych terenach władz niepodległej Białorusi. Wyjechaliśmy najprzód do Wilna, a stąd—do Grodna.

W Grodnie przebywał podówczas—miedzy innymi — członek Rady Republiki generał C. Kondratowicz, który z nami współpracował. Miał on wejść, jako specjalista wojskowy, w skład delegacji BNR, która szykowała się do wyjazdu do Paryża pod moim przewodnictwem. Pewnego dnia złożył mi—w towarzystwie gen. Kondratowicza — wizytę p. Aleksy Oznobiszyn, z którym długo i obszernie dyskutowaliśmy o kwestjach politycznych, dotyczących losów Białorusi. W wyniku tej rozmowy oświadczył mi p. Oznobiszyn, iż całkowicie rozumie i uznaje stanowisko niepodległościowców białoruskich, a to dla tego, że Białoruś oderwała się od Rosji *Sowieckiej*, co winno uchronić kraj ten od bolszewizmu, do którego p. O. ustosunkowywał się zawsze zdecydowanie wrogo. Ponieważ p. O. wybierał się wkrótce do Paryża w charakterze prywatnym i zgłosił swoją chęć współpracowania z nami w akcji białoruskiej na terenie międzynarodowym, uznałem za wskazane wykorzystać jego osobę dla naszej sprawy. Jako b. poseł do Dumy, miał on szerokie stosunki w sferach politycznych zagranicą, znał dobrze języki obce (angielski, francuski, niemiecki); zaproponowałem więc panu O. stanowisko członka białoruskiej delegacji, na co chętnie przystał.

Po przybyciu do Paryża, via Berlin, naszej delegacji, dowiedziałem się, iż mieszka tam od wielu już lat kuzyn p. Aleksego Oznobiszyna, były agent wojskowy rosyjski, generał Oznobiszyn. Z nim najwidoczniej p. Boucard spletał osobę członka naszej delegacji. Gen. Oznobiszyn, który od czasu do czasu odwiedzał naszą delegację, nie miał nic wspólnego z jej akcją polityczną.

W Paryżu rozwinięliśmy ożywioną działalność, nawiązując kontakt z delegacjami na Kongres pokojowy wszystkich państw, biorących w nim udział, — i p. Oznobiszyn współpracował z nami bardzo lojalnie. Muszę jednak stwierdzić, iż nic mi nie wiadomo o rzekomo szczególnie przychylnem stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych p. Wilsona w stosunku do sprawy białoruskiej. Prawdą jest natomiast, iż gorąco popierał nas w naszej akcji emigrant z Mohylewskiej p. Herman Bernsztejn, obecnie znany publicysta amerykański („New York Herald”), osobisty przyjaciel prezydenta Wilsona.

Moje koncepcje gospodarcze (w tem—projekt zrealizowania połączenia wodnego między Bałtykiem a morzem Czarnym zapomocą kanału Dźwina — Dniepr) szczególnie zainteresowały delegację amerykańską i reprezentantów kapitału amerykańskiego. W sprawie kanału Dźwina—Dniepr odbyło się w lokalu delegacji białoruskiej (rue Bayard 24) kilka konferencji z udziałem reprezentantów Stanów Zjednoczonych (wśród nich — znany adwokat major Noble, przedstawiciel Morgana i inni) oraz Łotwy i Ukrainy, narówno z Białorusią zainteresowanych w poruszonym projekcie.

Naogół, stosunek delegacji amerykańskiej do nas był stale przychylny, czego dowodem była jej decyzja ustąpienia rządowi BNR części amerykańskich zapasów wojennych (produkty spożywcze, ma-

nufaktura, obuwie, maszyny, warsztaty wszelkiego rodzaju, urządzenia szpitalne i t. p.) na kredyt, na dogodnych warunkach, na łączną sumę 100 milionów franków; tylko żądanie Francji, by zapasy te w całości przeszły w ręce francuskie na poczet ogólnego rozrachunku między Francją a Stanami Zjednoczonymi, przeszkodziło sfinalizowaniu zdecydowanej już zasadniczo transakcji z rządem białoruskim.

W całej tej akcji p. Oznobiszyn większej roli nie odegrał. O żadnej *politycznej* konferencji rzekomo z polecenia prezydenta Stanów Zjednoczonych nie było mowy. Zresztą, p. Wilson po podpisaniu traktatu pokojowego opuścił Paryż. Było to w lecie r. 1919.

W jesieni tegoż roku—na zaproszenie ówczesnego premiera Polski p. Paderewskiego—przyjechałem do Warszawy. Przyjazd mój do stolicy Polski, jako szefa rządu BNR, miał charakter oficjalny i odbył się na mocy udzielonych mi w tym charakterze wiz dyplomatycznych francuskiej i polskiej. Niestety, wyników pozytywnych nie dał,—i do Paryża już nie wróciłem.

No, ale to już inna sprawa. Wracam do tematu.

Przed samym wyjazdem z Paryża wydelegowałem p. Oznobiszyna do Berlina, gdzie poleciłem mu przeprowadzenie pewnych reform w pracy naszej berlińskiej misji dyplomatycznej, ściślej—jej wydziału wojskowego. Od owego czasu p. O. nie widziałem. Z relacji zaś innego członka delegacji paryskiej, p. Ładnowa, który po pewnym czasie przyjeżdżał do Warszawy, dowiedziałem się o przykrym wypadku, jaki się przytrafił p. Oznobiszynowi,—wypadku, przedstawionym przez p. Boucard'a niezgodnie z tą relacją.

Chodzi o to, iż po stwierdzeniu definitywnem, że nasza akcja w Paryżu, mająca na celu zdobycie uznania przez mocarstwa niepodległości Białorusi, wyników pozytywnych nie da (najbardziej nieprzychylnie ustosunkował się do niej ówczesny dyktator polityczny Entent'y p. Clemenceau, który oświadczył, iż ziemie białoruskie w całości muszą być zwrócone Rosji...),—p. Oznobiszyn, dotąd zupełnie lojalny względem akcji białoruskiej, miał się związać ściślej z berlińską grupą monarchistów rosyjskich, z którymi łączyły go zarówno poglądy polityczne, jak i dawne osobiste stosunki petersburskie. Z polecenia tej grupy przewoził on podobno z Berlina do Paryża jakieś kompromitujące druki i dokumenty, korzystając z nietykalności bagażu, którą dawał mu paszport dyplomatyczny BNR, honorowany zarówno przez rząd francuski, jak niemiecki i inne. W jakiś sposób dowiedziały się o tem władze francuskie (może tu istotnie miała miejsce ingerencja „Intelligence Service”?), i p. Oznobiszyn pewnego razu podczas powrotnej podróży z Berlina do Paryża został na dworcu paryskim zatrzymany, przy czem odebrano mu przewożone materiały. Sprawa ta żadnych poważniejszych skutków nie miała. P. Oznobiszyn wkrótce został zwolniony i opuścił Francję, zamieszkując, jak mię informowano, w Niemczech, gdzie po paru latach zmarł.

O żadnym „włamaniu” do delegacji białoruskiej przy rue Bayard w otrzymanej od p. Ładnowa relacji nie było wzmianki, to też należy uznać wersję p. Boucard'a za niezgodną z prawdą,—jak nieprawdziwą jest i wersja orzekomo zerwanej przez „Intelligence Service” konferencji białorusko-amerykańskiej—z powodu aresztowania „prezesa” naszej de-

legacji p. Oznobiszyna, który stanowiska tego nigdy nie zajmował.

O żadnym fałszowaniu dokumentów za pomocą pieczęci delegacji białoruskiej w okresie mojego urzędowania nic mi też nie wiadomo.

Antoni Łuckiewicz.

Nastroje wsi białoruskiej.

(Rozmowa z b. posłem Sobolewskim).

Bawił przed paru dniami w Wilnie p. Jerzy Sobolewski, jedyny z posłów białoruskiej „Hramady”, który pozostał w granicach Rzeczypospolitej Polskiej.

Oskarżony na równi z innymi o udział w działalności wywrotowej „Hramady”, w pierwszej instancji był skazany na 6 lat więzienia, wyrokiem zaś sądu apelacyjnego został całkowicie niewinny.

Obecnie b. poseł odsunął się zupełnie od życia politycznego i stale mieszka w Stołpcach, prowadząc ciche życie małomiasteczkowego gospodarza.

Skorzystałem z okazji pobytu jego w Wilnie, by zadać szereg pytań w związku ze sprawą dawno przebrzmiałą, lecz stającą się dziś znów aktualną wobec aresztowania „hramadowców” w Mińsku.

Na pytanie o poglądy polityczne mój interlokutor oświadczył:

— Jestem nacionalistą białoruskim o radykalnych poglądach społecznych, w zasadzie odrzucając parlamentarną formę rządzenia. W „Hramadzie” nie wałem częste tarcia ze swymi przyjaciółmi politycznymi z tego względu, iż oni przechylali się zbyt często bezkrytycznie na stronę Kominternu, lekceważąc białoruskie interesy narodowe. Uważałem za największych szkodników na polu naszej pracy narodowej posłów: Wojewódzkiego (NPCh), Sochackiego i Warskiego (komunistów). Większość z mych przyjaciół politycznych widziała w nich bardzo pożytecznych dla naszej sprawy działaczy—i na tym gruncie pogłębiały się nasze rozdziewki.

Oczywiście oskarżenia, rzucone na b. posłów hramadowskich w Mińsku, są niedorzeczne. Stykając się z nimi blisko zarówno w życiu politycznym, jak prywatnym utrzymuję kategorycznie, że zarzuty władzy sowieckiej pod ich adresem są produktem złej woli. Zresztą podobne posądzenie sprzeczne jest ze zdrowym rozsądkiem, gdyż ludzie, którzy odsiadali kilkoletnią karę więzienia w Polsce, nie mogli być zasądzeni za współpracę z organami bezpieczeństwa.

— Co spowodowało wyłonienie się „Hramady” z Białor. Klubu poselskiego?

— Klub poselski z wyborów 1922 r. przedstawiał konglomerat ludzi, nie związanych ze sobą ani ideowo, ani programowo, nie posiadających wyraźnej perspektywy politycznej. Widząc bezpłodność wysiłków zdobycia praw należnych Białorusinom, a zagwarantowanych konstytucją, większość posłów przeszła do bezwzględnej opozycji, odrzucając nierealny kompromis. Z początku inicjatorem tego rodzaju akcji politycznej był poseł Rohula, zamierzając zwerbować do siebie część posłów-Białorusinów z „Wyzwolenia”. Następnie, jednak pod wpływem intryg Wojewódzkiego, Rohula został odsunięty od powstającej organizacji i niespodzianie wypłynęli na czołowe stanowiska inni, o poglądach bardziej radykalnych.

— Śród jakich elementów białoruskich na wsi „Hramada” miała największy posłuch?

— Do „Hramady” wstępowali wszyscy: i chłopci bezrolni i zamożni, wogóle ci wszyscy, którzy czuli się pokrzywdzeni bądź to pod względem socjalnym, bądź narodowościowym. Na czele tego ruchu stała bezrobotna inteligencja miasteczkowa i wiejska.

— Wiejska?

— Tak, powiewał wieś nasza posiada znaczne zastępy inteligencji, zmuszonej pracować na ubogiej roli, nie mając zastosowania swych kwalifikacyj na właściwym polu.

— Jaki był stosunek ludności białoruskiej do elementu polskiego napływowego?

— Bezwzględnie wrogą. Importowana z Polski inteligencja stała na niskim poziomie intelektualnym, negowała potrzeby ducha białoruskiego, nie posiadała zrozumienia zagadnień naszego kraju, a wobec tego czuła się odosobnioną i pozbawioną wszelkich wpływów na życie miejscowe, oskarżając jednocześnie ludność tutejszą o zamachowe względem niej tendencje. Mając zaś poparcie ze strony czynników państwowych, pozwalała sobie bezkarnie jątrzyć jeszcze bardziej stosunki miejscowe przez nadużywanie swego uprzywilejowanego położenia.

— Pan przyjechał z prowincji. Pan zna zapewne dzisiejsze nastroje wsi białoruskiej?

— Wieśniak białoruski ugina się pod ciężarem podatków i bezwzględności przy ich ściąganiu. Brak ziemi, brak pomocy na prowadzenie racjonalnej gospodarki, obcy język w szkole, urzędach, nawet w gminie, wytwarza nastrój przygnębienia i charakterystycznej dla Białorusina bierności i niezaradności, jednocześnie budząc w nim pragnienie i tęsknotę do zmiany położenia, co do której nie zdaje sobie zresztą sprawy, skądby przyjąć ją miała. Marzy nawet—jakkolwiek dziwnym to się może wydać—o wojnie, w nadziei, że zmieni ona rozpaczyliwy stan obecny.

— Jaki jest stosunek ludności wiejskiej do spraw religijnych, do duchowieństwa?

— Religijność wśród ludności pozostawia wiele do życzenia. Wieśniak udaje się do kościoła lub cerkwi tylko dla załatwienia potrzeb wymaganych przez tradycję, obyczaj lub prawo. Pokarmu dla duszy tam nie szuka. Nie ulega wątpliwości, że duchowieństwo traci swój dawny wpływ na wsi.

— Jakie są zapatrywania ludności na sowiecką politykę agrarną?

— O ile niedawno ludność nieprzychylnie zapatrywała się na kolchozy, wprowadzane w Sowietach, o tyle teraz pod wpływem trudności materialnych, biedniejsza część ludności, a ta jest najliczniejszą, nawet eksperyment sowiecki uważa za lepszy od swego położenia obecnego. Krótko mówiąc, nastrój jest desperacki. *OI.*

Z mego notatnika.

Wynik przesądzony.

Poco wybieramy Radę Miejską? Takie pytanie stawia sobie i czytelnikom p. W. Solski, czołowy od pewnego czasu publicysta „Kurjera Wileńskiego”. Pytanie istotnie frapujące w obecnych warunkach. Dawniej nie trudno byłoby dać na nie odpowiedź. Rada miejska będąc organem samorządu municipalnego, jest powołana do obrony i reprezentowania interesów miasta, jako odrębnej jednostki gospodarczej. Do jej funkcji należą przedewszyst-

kiem nadawanie kierunku gospodarce miejskiej oraz kontrola nad działalnością magistratu, za którą ponosi odpowiedzialność.

W teorii i dziś również gmina miejska ma te same zadania. W praktyce jednak rola Rady Miejskiej, tak, jak i innych organów samorządowych, ogranicza się wyłącznie do uchwalania takich rezolucyj, o których zgóry jest wiadomo, że nie spotykają się z dezaprobatą władz nadzorczych. W przeciwnym razie uchwały Rady Miejskiej, o ile będą powzięte nie po myśli administracji, pozostaną wyrazem pobożnych życzeń przedstawicieli ludności, gdyby zaś podobne kolizje powtarzały się zbyt często, Rada Miejska ulegnie rozwiązaniu, a rządy w mieście obejmie prezydent czy komisarz z nominacji.

Poco więc wybierać Radę Miejską, skoro ma być ona tylko posłusznym narzędziem w ręku biurokracji i pełnić niezaszczytną rolę zużytej dekoracji, ustawianej gwoli zadośćuczynieniu tradycjom demokratycznym? Jednakże do wyborów gorączkowo się szykują i wpływowi, bo sanacyjny Blok Gospodarczy Odrodzenia Wilna i osłabiona mocno endecja i niedobitki P.P.S. i ugrupowania żydowskie. O co chodzi wszystkim tym konkurentom? Pozornie walka się toczy o hasła i zasady, w gruncie rzeczy zaś o obsadzenie magistratu swymi ludźmi. Trzeba jednak być bardzo naiwnym, aby się ludzi, że taki lub inny wynik wyborów może mieć jakiś wpływ na skład personalny prezydium. Te rzeczy napewno są już przesądzone w sferach miarodajnych.

Możnaby już teraz wymienić nazwiska osób, desygnowanych na stanowiska prezydenta i wiceprezydentów. Jeżeli zajdą jakieś zmiany w tym względzie, to napewno nie będą one uzależnione od przebiegu wyborów, tylko od układu sił wewnętrznych w łonie Bloku. Ścierają się tam przecież rozmaite prądy i koterje. Ale śmieszną rzeczą jest przypuszczać, że skoro sanacja staje do wyborów, mogą one wypaść dla niej niepomysłnie, a nawet i w takim nieprawdopodobnym wypadku znajdzie się sposób, by utracić niepożądanych kandydatów do godności prezydjalnych.

Wypada się nawet z tego cieszyć, bo ładnieby Wilno wyglądało, gdyby je reprezentował jakiś zwolennik programu „odżyczenia moralności publicznej!” Niech już lepiej będzie górą Klub Włóczęgów...

Licz.

Z notatek wycieczkowicza.

Zielone Świąta. Nazwa coprawda pogańska, ale wiele przemawiająca do uczuć duszącego się w murach mieszczaucha. Stąd Zielone Świąta — dni upragnione wycieczkowiczów.

Na szerokim trakcie Wilno-Święciany o 5 kilometrów na wschód od Podbrodzia zatrzymują się w Powiewórcie. Ubogi kościół drewniany, plebanja, dwa sklepiki i kilkanaście chat słomą pokrytych. Ot i całe „miasteczko”. Ale Powiewiórka ma swoją sławę. A jakże. Tu był ochrzczony Marsz. Piłsudski. Spędzał dzieciństwo w pobliskim Zołowie.

„Nasz parafjanin” — ma prawo twierdzić poszczepowiewiórski.

Ze wszystkich stron ściągają ludziska do kościoła. Ruch jednak nadzwyczaj słaby. Gdzieniedzie małe grupki osób kierują się na plac przedkościelny i znikają we wnętrzu świątyni.

Mężczyźni i kobiety ubrani odświętnie. Można by nawet powiedzieć po miejsku, gdyby nie to, że w Wilnie samodziałową suknię spotyka się dość często. Tutaj wcale. Wszyscy noszą materiały fabryczne. Chustek na głowie coraz mniej. U dziewcząt przeważają skromne berety. O ile u mężczyzn ubranie, uszyte przez krawca wiejskiego, układa się na figurze niezgrabnie, o tyle dziewczęta umieją ubrać się wcale gustownie. Można by powiedzieć miasto na wsi, gdyby panienki nie niosły obuwia w rękę. Pod „murami” Powiewiórki siadają na łące, by wdziac na nóżki cienkie pończochy i buciki też wyrobu fabrycznego.

Dziewczyna wiejska, ubrana odświętnie, idąca boso do kościoła nie jest zresztą zjawiskiem nowym. Przemawia tu zmysł oszczędności w połączeniu z brakiem pieniądza na wsi, Buciki wszak prędzej zniszczą się, a sukienka elegancka trwa aż do... zmiany mody.

Mimo, iż Powiewiórkę dzieli od Wilna 55 kilometrów, wpływ miasta rzuca się na każdym kroku. Bliskość ćwiczebnych terenów wojskowych, sporego miasteczka i węzłowej stacji kolejowej Podbrodzia procesowi „urbanizacji” niezmiernie sprzyja. Nie we wszystkie jednak dziedziny życia przenika miasto. Wówczas gdy w mieście np. szaleje manja opalenizny, na wsi opala się tylko ten, kto pracuje w polu. A że w pojęciu elegantki wiejskiej praca na roli zbyt niegospodarnego zaszczytu nie przynosi, dziewczęta, jak słyszałem, unikają pracy w polu. Dowodem najlepszym jest ich cera zdrowa, ale nie opalona. Przynajmniej przed żniwami. Plażowanie i tangowanie z trudem podobno przecierają sobie drogę, ale już coś nie coś i o tem tu wiedzą.

Język tu panuje polski, oczywiście, o narzeczu ciotki Albinowej z Radja wileńskiego, to znaczy przeplatany pozostałościami białoruskimi i litewskimi. Co za ironja losu! Wówczas gdy większość wsi podwileńskich a szczególnie na południo-zachód w stronę Warszawy mówi po białorusku, na północ-wschód od Wilna okolice Podbrodzia są gruntownie spolszczone. Nieobeznany z istotnym stanem rzeczy nacjonalista polski miałby powód cieszyć się z dalekiego zasięgu polskości. Ale tu działał wpływ raczej Wilna niż Warszawy. Ludność uległa polonizacji już przed kilkudziesięciu laty wskutek prześladowania przez rządy carskie języka polskiego. Kościół odegrał tu decydującą rolę.

Od wsi spolszczonej ongiś, wieje jakimś ukrytym tragizmem. Lud utracił mowę pradziadów, ale przez to jeszcze polskim całkowicie nie stał się. Jakieś nieokreślone oblicze: wieśniak utracił swoje stare pieśni, bajki, legendy, ale wzamian nic nie otrzymał, piosenki wyuczone w szkole dzisiejszej w rodzaju „Na Wawel, na Wawel krakowiaku żwawy” brzmią niezrozumiale i obco. Tylko przy uczcie weselnej lub na chrzcinach podchmieleni starsi goście czasami zdradzają swoje pochodzenie, gdy przy brzęku kieliszków zabrzmi „Czaraczka maja kryształowaja”. Ale to było przed laty. Dzisiaj prafja powiewiórska nie pije. „Dlaczego — zapytywałem. Odpowiedź była zawsze jednakowa: „Niema za co”.

Istotnie. Wygląd świąteczny ubranych czasem pretensjonalnie wieśniaków nie świadczy bynajmniej o zamożności. W chacie daje się we znaki brak rzeczy najpotrzebniejszych.

Na placu przed kościołem zaledwie 4 furmanki. Tyle przyjechało do kościoła. A i pieszych mało. W kościele przestronno. Tylko ławki kompletnie

zapełnione. Naogół osób ponad setkę. Jak na parotysieczną parafję jest to niewiele. Swoista elegancja i ekonomja i tu rzuca się w oczy. Niektórzy chłopcy przy klękaniu rozścielają przy klękaniu chustkę do nosa. Czy „nosówka” potem nadaje się do właściwego użytku, nikt w to oczywiście nie wchodzi.

Przywiązanie do kościoła i autorytet duchowieństwa osłabły mocno. Stwierdzają to wszyscy rozmówcy.

Lekceważenie sukni kapłańskiej doszło do tego stopnia, że pewien młodzieniec, spotkawszy proboszcza, wydobyl butelkę wódki i poufale zaproponował: „Napijmy się, stary!”... Fakt ten odtąd służy proboszczowi jako stały temat jego kazań niedzielnych, urozmaicanych nadto narzekaniem, że dawny zwyczaj całowania księdza w rękę poszedł całkiem w zapomnienie. Trudno się potem dziwić, że tego rodzaju praca duszpasterska daje opłakane rezultaty.

Step.

Pieśń o św. Makrynie.

W związku z niedawną dyskusją w prasie wileńskiej o „świętej Makrynie” w pewnej pieśni bazylijskiej, otrzymujemy od wybitnego członka Zakonu św. Bazylego W. poniższe uwagi.

Czytałem dyskusję ks. Wł. Tołoczki z p. W. Charkiewiczem na temat, jaką Makrynę wymienił autor „Pieśni bazylijskiej”, ułożonej w r. 1847. w swym utworze i najzupełniej przyznaję rację pierwszemu. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że słowa pieśni odnoszą się do św. Makryny, siostry św. Bazylego W. Jeżeli tę pieśń pisał bazylijanin, to nie mógł nawet aluzji robić do Makryny Mieczysławskiej. Jeżeli jednak tę pieśń pisał świecki w Rzymie, mógł wspominając wielką Makrynę, mieć na myśli Mieczysławkę. Warto byłoby stwierdzić, kto w owym czasie był prokuratorem bazylijanów w Rzymie i czemu zakon nie protestował przeciw oszukaństwu Makryny. Pamiętam białoruskiego bazylijanina o. Letowta, który zawsze powtarzał, że między bazylijankami na Białorusi żadnej Mieczysławskiej nie było. To mi mówił mniej więcej w ll. 1887—8.

Bazylijanin.

Obecny moment kwestji unijnej.

Niechęć do nazwy *Commissio pro Russia* i wynikających z tej nazwy tendencji zjednoczyła u nas wszystkich, skądinąd zajmujących biegunowo sprzeczne względem neounji stanowiska. Mam tu na myśli, jeśli chodzi o Galicję, zwolenników bizantyzmu i obóz bazylijski. Polacy i mniejszości słowiańskie, z wyjątkiem oczywiście Rosjan, jednakowo są tej Komisji przeciwni, a wśród samych Polaków niechęć do nazwy niemiłej nie jest wcale mniejszą wśród endeków, jak sanatorów. Jeśli chodzi specjalnie o Wilno i kraj nasz, to Komisja owa ma w tym stopniu *nomen odiosum* dla „Słowa” i „Dziennika Wileńskiego”, jak dla białoruskiej „Krynicy”. Nikomu u nas nie chce się pod żadnym pozorem wzmocnić tradycyjn panowania na Litwie i Białorusi Rosji zaborczej. Denominacja *pro Russia* ogólnie uważana jest i będzie za cień skrzydeł dwugłowego orła rosyjskiego, padający na nasze ziemie.

Świadomość tego faktu niewątpliwie doszła już do Rzymu, chociaż znaczne w tem opóźnienie sprawie na dobre nie wyszło. Lecz nietylko w Rzymie to rozumieją. Oto miesięcznik słoweński „*Kraljestvo Božje*” w Ljubljanie, wprawnie redagowany przez prof. uniwersytetu tamecznego, prałata Fr. Grivec'a, człowieka wcale bliskiego do osoby msgr. d'Herbigny, w marcowym zeszycie tak pisał o naszych sprawach: „Polacy, Ukraińcy i Białorusini, a wśród nich są dobrzy katolicy, sprzeciwiali się nazwie tej Komisji. Niechętnie znosili, że ich kościelna prowincja traktowana jest jako teren podległy Komisji pro Russia. Nazwa ta wydawała się dla nich tak niewłaściwą, jak byłoby dla Słoweńców i Chorwatów poddanie ich spraw kościelnych... *Komisji pro Hungaria* lub podobnej. W Rzymie tych spraw nie doceniono, i panowało tam przekonanie, że jest to jałowy spór o nazwę lub wynik uprzedzeń do kierowników tej Komisji. Lecz teraz jest rzeczą prawdopodobną, że nazwa tej Komisji zostanie zmieniona, jak również, że nastąpi jej reorganizacja”.

Wszyscy dziś tego oczekują, lecz jeszcze *Komisja pro Russia*, wbrew nieprawdziwym pogłoskom prasowym, istnieje. Jakaś zmiana musi nastąpić, bo sprawa najzupełniej jest dojrzała.

Krytyka tej instytucji wcale nie przeszkadza tu złożyć należne uznanie dla ideowości, wiedzy i ofiarności jej dotychczasowego prezesa msgr. d'Herbigny i takich jego współpracowników, jak dobrze znający nasze stosunki bp. Buczys lub znany Wilnu z przed wojny, duszpasterz liczniejszej wtedy w naszym mieście kolonii francuskiej, ks. Gerwazy Quénard, dziś generał zakonu asumpcjonistów.

Jeśli nie teraz, to na jesieni, gdy Rzym rozpoczyna zwykle nowy okres pracy, nastąpi niewątpliwie rozwiązanie kwestji reorganizacji Komisji *pro Russia*. Oczywiście, że chodzi o zmianę nietylko nazwy, ale i treści.

Jednocześnie z ukazaniem w oficjocie papieskim „*Osservatore Romano*” wiadomości o dymisji msgr. d'Herbigny ze stanowiska prezesa Komisji *pro Russia*, bawiący podówczas w Rzymie prymas Polski kard. Hlond złożył wizytę w *Russicum*, a w kilka dni potem podejmowany był przez to collegium obiadem. W międzyczasie tenże dostojnik Kościoła w Polsce złożył wizytę nowemu w Rzymie kolegum ukraińskiemu *Ruthenicum*.

Wkrótce potem doszła do skutku podróż kard. Kakowskiego na Wołyń. Wraz z bpem Przeździeckim kard. Kakowski jedzie do Łucka, który odniedawna stał się głównym ośrodkiem *czynnej* akcji unijnej. (Wilno, mimo wspaniałych tradycyji unijnych, nie odegrywa w tym ruchu żadnej prawie roli, Pińsk dziś poza inertnie odbywanymi konferencjami unijnymi niczem się wykazać nie może, w Siedlcach, po okresie gorączkowym, dziś panuje stagnacja). Z Łucka kardynał udaje do Kowla, by odwiedzić wielce zasłużony dla pracy unijnej klasztor wschodnich o. o. redemptorystów i rezydencję wizytatora apostołskiego władcyki Czarneckiego. (Kowel jest dziś tem, czem jezuicki Albertyn w archidiecezji wileńskiej, a kapucyński Lubieszów w pińskiej). Odwiedzinom Papieskiego Seminarjum w Dubnie przeszkodziła konieczność powrotu do Warszawy na uroczystości 3 maja.

Wygląda, jakby w stanowisku episkopatu polskiego względem akcji unijnej nastąpił pewien zwrot, który nie pozostanie zapewne bez wpływu na charakter tej akcji.

Vigilans.

Bibliografia.

Z murów św. Katarzyny. Tom I. Warszawa 1933. VI+341 z ilustr.

Księga pamiątkowa b. wychowanek i wychowanków gimnazjów przy kość. św. Katarzyny w Petersburgu wyszła ze znacznym opóźnieniem, bo dopiero w pierwszym kwartale r. b. Ten ładnie wydany tom omawia głównie tematy następujące: „Kościół św. Katarzyny a życie polskie. — Szkoły żeńskie. — Szkoły męskie”. Z natury rzeczy jest to praca zbiorowa, wykonana pod kierunkiem komisji redakcyjnej zespołu osób, dla których ogłoszenie swych prac drukiem nie było pierwszozną. Dlatego księga jest zredagowana i wydana umiejętnie, wprawnie, z dobrym smakiem i mogłaby dla jednego grona być wzorem, jak się przeprowadza zamierzenia analogiczne.

Nie licząc wstępu redakcyjnego, dzieło omawiane rozpoczyna się źródłowo napisanym szkicem L. Kosińskiego: „Dzieje kościoła św. Katarzyny w Petersburgu”, nieprzetłumaczonym jednak suchymi szczegółami. Autor sięgnął tu do najdawniejszych dziejów katolicyzmu nad ujściem Newy, które znacznie wyprzedziły *żałobnuju gramatu* i *reglament*, jakie wydane przez Katarzynę II stanowiły właściwie akt erekcyjny kościoła św. Katarzyny. Nie trzeba chyba dodawać, że fundacja powyższa miała na celu interesy całej ludności katolickiej tak Petersburga jak bliskich jego okolic, a nietylko polskiej. Cóż jednak się stało de facto? Identyfikując katolicyzm z polskością, czemu mogli z czasem się przeciwstawić najwyżej tylko świadomi Litwini i Niemcy, i korzystając ze swej przewagi liczebnej, Polacy z placówki *de iure* katolickiej potrafili rychło uczynić nawskroś polską narodową instytucją*), której retrospektywne dzieje zdobywają dziś zgodny aplauz na szpaltach endeckiej prasy w Warszawie, odmierzony piórem Adama Grzymały Siedleckiego. To pisząc, mamy na myśli nie tyle oczywiście sam kościół św. Katarzyny, gdzie bez pewnych ustępstw językowych się nie obszło, lecz istniejące przy nim zakłady naukowe. Znacznie pełniejszy mielibyśmy obraz stanu rzeczy u św. Katarzyny, jeśliby zechcieli też oo. dominikanie skreślić historję swego nad Nęwą pobytu, a i Litwini ze swej strony przedstawili drogę, jaką przebyć musiała nad Nęwą emancypująca się narodowa idea litewska. Dobrze znają te perypetje arcybiskup Fr. Karewicz i p. Emilija Wilejszysowa, posiadająca m. in. cenne *ad hoc* przyczynki, w postaci listów ś. p. metropolity Gintowta.

Pod względem stylowym kościół św. Katarzyny i jego zabytki omówił fachowo prof. polit. warszawskiej Marjan Lalewicz. Kolejno Stanisław Ptaszycki wprowadza czytelnika w ogniskujące się do koła św. Katarzyny w Petersburgu życie społeczne, zamieszczając art. „Z moich wspomnień z nad Newy”. Daje to wcale szorokie tło, bo bogatą jest pamięć tego polskiego akademika i uważnego obserwatora, a zarazem kronikarza życia polskiego nad Nęwą. Do bardziej zato suchych artykułów-wspomnień zaliczyć należy prof. L. Staniewicza „Z pracy w administracji kościoła św. Katarzyny w Petersburgu” i inż. A. Pszenickiego na ten temat w latach 1905—1910. Najważniejsze bodaj artykuły, i w dalszym ciągu, ukażą się tu pióra J. Ptaszyckiego.

*) Por. Petycję uczenic do ś. p. ks. Budkiewicza.

Trudno nie zaliczyć do nich np. szkicu „Kościół św. Katarzyny jako twierdza polskiego życia kulturalno-oświatowego w Petersburgu w latach 1916—18”. Istotnie zawsze, a zwłaszcza czasu wojny, św. Katarzyna w Petersburgu świadczyła wiele dobrego. Ze zwierzchności duchownej w Petersburgu znajdujemy tu skreślone przez St. Ostrowskiego sylwetki ś. p. ks. ks. Erazma Kluczewskiego, Konstantego Budkiewicza, arcybiskupa Jana Cieplaka i metropolity Edwarda Roppa. Ostatnia jednak sylweta wymaga kilku drobnych poprawek.

W części dzieła, poświęconego szkolnictwu żeńskiemu b. przełożona pensji żeńskiej u św. Katarzyny Z. Kossowska daje garść wspomnień o założycielu szkoły, wybitnym dominikaninie ks. Dominiku Łukaszewiczu, jak też wiersz ku uczczeniu jego jubileuszu. Nie będę wyliczać poszczególnie wszystkich artykułów, które omawiają zarys dziejów gimnazjum, charakter zakładu, przełomowe etapy, internaty i różne czynniki wychowawcze. Najprzyjemniej się czyta liczne wspomnienia b. uczenic, zawierające sporo materiału obyczajowego. O przesadzie kierunku nacjonalistycznego w gimnazjum żeńskim przy św. Katarzynie świadczy wymownie zanotowany przez jej dziejopisa fakt: *Sam akcent warszawski przełożonej radośnie rozbrzmiewał w starych murach petersburskich, a uczennice skwapliwie usiłowały naśladować przełożoną*. Charakterystyczne... Takich i podobnych doń kwiatków (Rosja — wróg cywilizacji) zbierać można na łamach tej książki pamiątkowej mnóstwo.

Jeśli chodzi o poziom szkół męskich u św. Katarzyny, to trudno doprawdy o pochlebniejsze świadectwo, skoro najwyższą chlubę poezji rosyjskiej Puszkina zamierzano jakoby oddać właśnie do szkoły męskiej u św. Katarzyny, lecz zaszczytu tego dostąpiło powstałe akurat w tymże roku liceum w Carskim Siole. Fakt ten powtarzam tu, nie biorąc zań odpowiedzialności, bo jednak brzmi mało prawdopodobnie.

Właściwą historję „Szkoły męskiej przy Kościele św. Katarzyny” kreśli St. Szaniawski. W jej dziejach zaznaczył się szeregiem reform prof. Al. Rudzki. Pięknie zapisała się w życiu gimnazjum męskiego u św. Katarzyny działalność prof. St. Cybulskiego nacechowana wielką bezstronnością względem Litwinów i innych „obcoplemieńców”, którym wypadło pobierać tu średnie wykształcenie. System nauczania i wychowania tu miał za cel swój hasło: *Bonus intra melior exit*.

Zakończenie wytwornego tomu stanowią artykuły „Dalsze (właściwie: Końcowe) losy gimnazjów” St. Ostrowskiego, „Z dziejów walki o nauczanie religijne” w okresie bolszewickim i kompletny indeks nazwisk oraz spisy ilustracyj i rozdziałów.

Wydawcy i redaktorzy „Z murów św. Katarzyny”, acz przesiąknięci duchem specyficznego *polskiego katolicyzmu*, chcieli zachować poprawność względem mniejszości i unikali zbyt już jaskrawych przeciw nim wystąpień. Natomiast brak jest zupełny zrozumienia aspiracji narodowych „młodszych braci”. Tylko rosnąca świadomość narodowa uczennic i uczniów Litwinów i Białorusinów zmusiła do pewnych, lecz b. drobnych ustępstw.

Oprócz wspomnianych już kilku błędów w życiorysie metr. Roppa, spostrzegłem jeszcze inne. Oto ks. Fr. Karewicz wymieniony jest jako bezpo-

średni następca o. Wollingiera, innym razem — jako drugi po nim; ks. Abrantowicz kształcił się w Belgji nie w Liegè, gdzie niema bodaj wcale wyższych studiów teologicznych. lecz w Lowanjum, ś. p. prof. Wiktora Staniewicza wymieniają autorzy wszędzie jako żywego a czynnego...

Trudno, jeśli ludzie za nic nie mogą pisać trzeźwo i obiektywnie, niech piszą chociażby tak, jak wydawcy i współpracownicy księgi. Zawsze coś z przeszłości uratuje się dla przyszłości. Dlatego kończę niniejszą notatkę szczerem życzeniem, by zamierzony II tom rychło też wyszedł z druku.

Fidelis.

Związek Przyjaciół Litwy.

Został nam do redakcji nadesłany statut stowarzyszenia pod nazwą „Związek Przyjaciół Litwy”, zarejestrowany w Komisarjacie Rządu m. st. Warszawy.

Ze wspomnianego statutu dowiadujemy się, że celem związku jest: a) szerzenie w społeczeństwie polskiem wiadomości o życiu kulturalnym, społecznym, gospodarczym i politycznym odrodzonej Litwy oraz uświadamianie Polaków i Litwinów o nowem położeniu odrodzonych narodów i państw: polskiego i litewskiego, o istocie wzajemnych obecnych stosunków, oraz o potrzebie ożywienia wymiany kulturalnej, a także i gospodarczej, na zasadzie wzajemnego poszanowania praw; b) podtrzymywanie uczuć przyjaźni dla dążeń kulturalnych odrodzonego narodu litewskiego.

Założycielami Związku są: J. E. ks. Arcybiskup Edward Ropp, Helena Wiercińska, dr. Jan Bobrzyński, publicysta i redaktor, Antoni Bellier, adwokat, ks. prałat dr. Antoni Około-Kuśak, Józef Czarnecki, literat i redaktor, dr. Edward Kostecki, biolog, Eugenjusz M. Schummer, literat i publicysta, Alfons Thoman ppułk. w. p. w st. sp., dr. Konstanty Kołakowski, lekarz, Władysław Ludwik Evert, literat i publicysta, Kazimierz Prószyński, inż. architekt, dr. Jerzy Pogonowski, radca S. N. Tr. Adm., Mikołaj Świątopolk Mirski, inż. technolog, Artur Steinhagen, przemysłowiec, dr. Wincenty Taborski, urz. Banku Polskiego, dr. Andrzej Zawadzki, radca min. w st. sp.

Prezesem Związku jest dr. Jan Bobrzyński. Do Zarządu wchodzi m. inn. dr. Władysław Mergel.

To ostatnie nazwisko rzuca nieco światła na charakter i genezę związku, gdyż większość nazwisk założycieli jest całkiem nieznaną i nic nie mówiącą. Z zaciekawieniem będziemy oczekiwali w czym i jak się za naczy działalność Związku

Książki nadesłane do Redakcji.

Zdziechowski Marjan. *Od Petersburga do Leningradu.* Wilno. 1934.

Górka Olgierd. *„Ogniem i Mieczem“ a rzeczywistość historyczna.* Warszawa. 1934.

Glakowski St. *Idea Jagiellońska a Królestwo Chrystusa.* Przedruk z „Nowin Codziennych”. Wilno.

OD ADMINISTRACJI.

Wobec wielokrotnych zapytań podajemy do wiadomości, że Administracja posiada jeszcze na składzie pewną ograniczoną ilość roczników „Przeгляdu Wileńskiego” z kilku lat ostatnich w cenie 3 zł. za rocznik.

